

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 11 Kwietnia 1914 roku

No 15.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

15

A Hans, krążący, jak głodny wilk w pobliżu „Astoria-Palace” i widząc około północy ogólny zamęt i rozprzężenie wszelkich utartych i pilnowanych zwyczajów, wszedł sobie zwyczajnie, poprostu i zmieszal się niepostrzeżenie z pijanymi gośćmi. Tyle jeno zadał sobie trudu, że uczynił jeden ze swoich skurczów w twarzy — sztuka, którą wynalazł i posiadał w więzieniu. Zmieniało go to do niepoznania.

Celem jego było zbadanie biura hotelowego i urządzeń alarmowych w skarbcu. Kręcił się i węszył, wynił kieliszek szampana, zafaczał się, bredził, zaczął wszyskich naokoło, wreszcie podsłuchał rozmowę prywatnej służby rodziny Slazenger o miss Lucy, która olśniła go, jak błyskawica.

Poszedł więc na pierwsze piętro, do mieszkania Lyttonów, gdzie pijani wspinacze grali w karty. Paru już spało na kanapach. Tam spotkał niespodziewanie pana de Morell'a, który jakąś drogą zdobył zaproszenie na ucztę. Był zdenerwowany i zupełnie po fuszersku udawał pijanego.

Po jakiejś pół godzinie bez żadnego planu w głowie, licząc chyba na jakiś traf — czego w ostatnich dziesięciu latach pracy nie czynił nigdy, Hans począł zmierzać ku schodom na drugie piętro, które zajmowali wyłącznie rodzina Slazenger i lady Hartley.

Kiedy go już wypchnięto za ostatnie drzwi, ujrzał Derjaca z fatalnie przyprawioną brodą i peruką (spieszył się błazen), ale za to najpoprawniej, niezbyt jaskrawo a dostatecznie pijanego, jak rozmawiał z paru ucztownikami, którzy wyszli byli na chwilę na świeże powietrze.

— Patrzajcie, koledzy! Niemcy, amerykańanie, portugalczycy! Widzi-

cie, co ze mną robia? Nie puszczają mnie do domu... Już mnie nawet wyrzucili! Amerykanie! Węgrzy!... Z własnego domu, jak psa... Na noc... Na zimno... Koledzy!

I wpadł w objęcia Derjaca. W trzech słowach szepnął mu wszystko.

Lucy biegła wkołko po swojej sypialni, iakala jakieś słowa bez związku, śmiała się i płakała jednocześnie. Płwała w lustro, gdzie widziała swoją znieawidzoną, okropną twarz.

Była to brzydota, której nie mogła przewyciężyć żadna sztuka, żaden wysiłek. Naistynniesi na cały świat specjaliści pracowali nad nią, męczyli ją najwyszukańszymi, tajnymi zabiegami. Uczynili jej pierś gładką, cudowną w karnacyi, ciepłą w tonie. Przedłużyli rzęsy, nadali rysunek brwiom, dopóty męczyli jej biedne, grube wargi, aż nabrały jini. Lucy artystycznie podkreślała białawe oczy, dręczyła uszy iakieśmiś kauczukowemi foremkami, nakładanemi na noc. Nos przecudził tortury i operacye. Nic nie mogło nadać twarzy wyrazu, charakteru.

Pozostała zawsze ta sama — przekłeta, bezbarwna, głupia i komiczna — karykatura niemki z Simplicissimusa, trywialna, gruba, chamska.

Lucy była bardzo jaskrawo brzydka, każdy widział to odrazu, od pierwszego rzutu oka. Ale ona jedna znała prawdziwą otchłań swojej brzydoty. Dla siebie samej była właśnie najokropniejsza.

Odpędzała tę zmoreń dumą, logicznem rozumowaniem. Zmuszała się, żeby być sportsmenką, udawała mężczyznę w kłamanym gustach i zamilowaniach. Piła, paliła cygara, grała w bilard.

Wiedziała, że świat jest u stóp

Lucy Slazenger, jedynej dziedziczki Slazengerowskich miliardów. Wiedziała, że niema mężczyzny, którego zażądałaby, nie miałaby za męża. Zawsze wszystko na nic.

Marzyła właśnie o tem, co jest najzwyczajniejsze, co mają miliony kobiet. Uczuć na sobie bodaj raz w życiu zachwycone, rozkochane spojrzenie...

Boże... Żeby chociaż patrzano na nią, jak na zwyczajną, najpospolitszą kobietę... Resztę łatwo dorobić inteligencyą, sztuką, zbytkiem.

Nie być strasznydłem — o przekleństwo — nie być śmieszna!...

Brutalny odruch pijanego na korytarzu powiedział jej prawdę, którą osłaniali przed nią wszyscy. I miał słusność ten pijak.

Wiecznie dolegające cierpienie domagało się co czas pewien wyładowania i gwałtownego upustu.

Już to poznał na sobie dzisiejszego dnia piękny Gustaw de Chapedellaine.

— Dlaczego pan nie patrzy zupełnie na tę pannę Mariette. Jest przecudowna. Czyżby pan tego nie widział?

— Nigdy nie zauważam pańien ze służby...

— Ależ piękna! Wszyscy ją pożerają oczami. Czy pan nie jest mężczyzną?

— Ja nie widzę świata oczami. Patrzę głębiej. Duszą patrzę...

— Panie, panie... Nie bądź - no pan zawsze taki głęboki i mądry, bo to już doprawdy wstrętne...

Gustaw zmilczał, zaklął w duszy i westchnął do Boga, który widział, oceniał i pochwalał jego wielką ofiarę dla wielkiej idei.

Lucy nigdy nie mogła się upić zupełnie. I teraz, chwając się na nogach, szepcąc do samej siebie słowa bez związku, wiedziała jednak o sobie wszystko i czuła, iak nigdy, boleśnie własną brzydote.

Rozbierała się sama. Zrzucała potrochu ubranie i ciskała byle-gdzie. Zrywała się i chodziła znowu, nawpół

naga, w jednej pończosze, straszna. Jednak obnażona noga była piękna, kark, ramiona i ręce wspaniałe, tors mocny, zwarty, jak u Dyany.

Było to chluba i dumą Lucy. To było również jej najbardziej dręczącym utrapieniem.

Jakgdyby ten, który ją stworzył, dał jej na urągowisko piękne kształty ciała do ohydnej głowy. Zresztą, włosy były bujne, piękne, jasne.

Temi włosami owinęła sobie twarz i stała naga przed wielkim lustrem. Przez sieć włosów patrzyła na siebie z dumą i z bólem.

— Tylko tak powinnam chodzić między ludźmi... Tak tylko powinien mnie widzieć ów przyszyły...

Straszna wściekłość ogarnęła ją — świata dla siebie jednej przemienić nie zdoła.

— Miliardy... Miliardy...

Śmiała się spazmatycznie, tłumiąc dobywające się z niej gwałtem wrzaski rozpacz. I tarzała się naga po dywanach i głucho biła głową o ziemię. Nagle natrafiła na szkatułkę. Była otwarta. Perły z niej szczydziły.

Bez namysłu chwyciła sznury i zaczęła je targać w mocnych rękach. Ale nie puściły struny, na które nanizane były perły.

Lucy zaczęła się oglądać po pokoju, szukała czegoś obfakaniem oczami. Wreszcie schwyła ciężki brązowy lichtarz i na marmurowej płycie konsoli zaczęła tłum i miazdżyć perły jedną po drugiej.

Gasły, ginęły posłusznie, kruszyły się na prochu.

Za każdym uderzeniem ze straszliwą szybkością topniała kolosalna cyfra ich wartości. Cztery miliony!...

...Dwa miliony... Milion... Sto tysięcy... Nic...

Lucy oddychała głęboko, z piekielną uciechą. Spojrzała na okruchy i szczątki, zaścielające różowy marmur konsoli i dywan, i rozśmiała się swobodnie, z nicopisaną ulgą.

Kryzys przeminął.

IX.

Tunel w Wandersteg przebity był już prawie do połowy od obu stron. Za dwa miesiące, przy sprzyjających okolicznościach, robota od Wandersteg i od Willigen miały się przebić do siebie w punkcie przewidzianym i wskazanym w planach. Ale dokopali się ludzie do tajnych wód, do ślepych bez wyjścia pieczar, w których stały zawarte pradostare jeziora.

Pewnej nocy, po jednym strzale dynamitowym, których tyle już słyszały podziemia, puściła się woda z bujną, wściekłą radością.

Goniła, topiła uciekających ludzi, zalewała maszyny, lokomotywy, rwała przewodniki elektryczne, ruinowała tor, gięła szyny, odrywała podkłady. Zanim dobiegli do wylotu ci szczęśliwi, którzy zdołali się ocalić, już potężny strumień buchał z pięknie obmurowanego granitem

wylotu tunelu, zalał tymczasową stację kolejową, baraki robotnicze.

Niosła woda i wyrzucała z zajądłością belki, deski, podkłady kolejowe. Zasypała podruzgotanemi szczątkami stację, tworzyła barykady i wały. Co mogła tylko dzwignąć i unieść, zabierała i ciskała ludziom z powrotem.

Wydarły się z więzi wody wzbierane od niepamiętnych czasów i szalały na wolności. Szły mętne i brudne, zanim nie zmyły wszelkiego śladu człowieka i jego pracy, zanim nie wyrzuciły z pod ziemi ostatniej resztki śmiecia. Potem płynęły już czyste i niepokalane, jak w kamiennem, przyrodzonym łożysku.

Setki robotników, sztab inżynierów przyglądali się temu beradnie. Czekali. Ratowali przed zalewem budowle i składy, przynosili się opodał, wznosili naprędce budy i szałas, grzebali zatopionych, których zmasakrowane ciała wciąż jeszcze wyrzucała woda.

Goście z Zermatt, jak i z całej doliny Rodanu, nawiedzali to miejsce i przyjeżdżali podziwiać groźne zjawisko i malownicze spustoszenie.

Za innymi wybrało się któregoś dnia i towarzystwo z „Astoria-Palace”. Przyjechali Lyttonowie z fotografem, lady Hartley z Mariette, miss Lucy z nieodstępnym Gustawem i reszta.

Kierownicy budowy, uprzedzeni zawczasu, witali ich ze względami, należnymi monarchom, oprowadzali, opowiadali, pokazywali plany i byli tak dalece grzeczni, że w ciągu pół godziny zdążyli ich zmordować i znużyć.

— Dostyc, moi panowie, — rzekł wreszcie dobrodusznie stary Slazenger. — Już wiemy wszystko, a nawet znacznie więcej. Ogromnie dużo skorzystałem. Dziękujemy bardzo i dajcie już nam na dzisiaj spokój.

Poczem wszyscy poszli ku górze na ustronną, zieloną łączkę, skąd nie było widać ani tunelu, ani wody, buchającej z niego, gdzie zaś służba zdążyła już ustawić wielki namiot z pasiatego płótna, połowe stoły i fotele, a nawet zatknąć spory, gwiaździsty sztandar.

Kucharz już gospodarzył. Dymił się z rondli. Towarzystwo wesoło zasiadło do lunchu. Jak zawsze, roilo się od służby, gdzie na trzech dwóch było najzupełniej zbytecznych, którzy jednak, nic nie robiąc, poruszali się sprawnie, nie zawadzając innym, i celebrowali wielki obrządek „lunchu” ze zwykłą, surowo obserwowaną w „Astoria-Palace” uroczystością.

Miss Slazenger była tego dnia niezwykle uprzejmą dla Gustawa, który promieniwał życiem i radością ku strapieniu panów Powella i Doodley'a. Ci spoglądali żarłocznie na Mariette, ku oburzeniu margrabiny, i milczeli, jak konie, albowiem Lucy rozmawiała dziś wyjątkowo po fran-

cusku, co stary margrabia poczytywał za bardzo poważny i szczęśliwy symptomat.

Lytton ojciec i Lytton syn odpoczywali przed wyprawą na Jungfrau, ostatnią i pożegnalną w życiu, albowiem noga żadnego szanującego się alpinisty nie postoi na szczycie, na który budują haniebną kolejkę.

Po hors d'oeuvre'ach Slazenger powrócił do owej pijackiej nocy i po swojemu, zgrubsza a dobrodusznie żartował z nich obu.

— A co już zupełnie wyjątkowe, to to, że was który z gości nie okradł.

— Byli sami alpiniści, a więc sami dzentelmeni! — oburzył się Lytton syn.

— Dobrześ rzekł, Billy, — pochwalił ojciec.

— Alpiniści, naturalnie. Ale opowiadają, żeście w zapale nazgarziali z ulicy i zwyczajnej hołoty. Ja już oddawna nie robię przygodnych znajomości w podróży, na okęcie... Pamiętasz, stara, tego czcigodnego generała francuskiego, z którym tak zaprzyjaźniliśmy się w Wenecji w hotelu „Excelsior”? Grałem z nim w karty, byliśmy razem na Lido, i cóż powiecie! Był to najznakomitszy „szczur” hotelowy, znany ze swoich nadzwyczajnych kradzieży w całej Europie, a nie poznany jeszcze nigdy.

Tam, w „Excelsiorze”, skradł on pewnym anglikom wszystkie kosztowności, a nam, na szczęście, tylko jakieś sześć tysięcy, które przypadkowo miałem przy sobie. To był geniusz!

Przechodzi wszelkie pojęcie, kiedy on mnie zdążył oporzadzić?

Jak mi komisarz policyi oddawał pieniądze, myślałem, że ze mnie kpi. No, i widzę: w kantorze stoi stary, ręce w kajdankach i płacze... Po raz pierwszy dać się złapać — a miał chyba ze sześćdziesiąt lat.

— Włóczą się za nami wszędzie podobne typy. Pozory mają nieraz nawet nadzwyczaj przywoite.

— Złodzieje jeszcze nie są najgorsi.

— Och, ileż to głodnej kanalii na świecie!

— Głodnej? To zamożni ludzie. Zarabiają wspaniale. Zawodowcy! To akcyjne towarzystwa, z ubezpieczeniem od wypadku czyli więzienia.

— A szantaz?

— Zorganizowany w syndykat!

— No, takiej „Czarnej Ręki” Europa by nie zniosła.

— W Paryżu? Panie Lytton, czytajno, pan, tylko pilnie gazety. Są tam lepsi od naszych włochów. Drożej biorą, ale są przynajmniej grzeczniejsi. No, mnie tam nic nie zrobią, nie mam tajemnic, a na życie godzić nie będą, jak u nas...

— A anarchiści? Bomby?

— Nic podobnego! — oburzył się margrabia. To są legendy! Paryż jest najbezpieczniejszym miastem. To niepowrotne, dawne czasy. Teraz te żywioły zwyczajnie

rabują kasy, lub obdzierają płatniczych bankowych, których zresztą wysyłają najlekkomyślniej z milionami w ten...

— Mariette... — szeptała lady Hartley. — Te gburzy już za bezczelnie ci się przyglądają. Ja im zrobię scenę.

— Daj spokój, już przywykłam do takich spojrzeń.

— Mister Powell, mister Doodle, czemuż nie patrzycie na góry?

— Patrzymy, patrzymy...

— Pani, gór mamy już dosyć...

— To patrzcie panowie w talerze.

Tymczasem wokoło zaczęli się zbierać ludzie. Usmoleni robotnicy w szerokich aksamitnych chajdawach, w czerwonych koszulach, typy przeważnie czarne, ogorzałe, zaróżnione, patrzące dziko i ponuro.

Zebrała się opodal kupka, stanęli, patrzyli na ten pański piknik. Niebawem, nieznacznie schodziło się ich coraz więcej. Zanim podano deser, już zwarte koło ofaczało namiot, stoły i służbę.

Kamerdyner John natarł na nastników swoją postawą lorda i twardym milordowskim nakazem:

— Rozejść mi się natychmiast! Co tu macie do roboty? Ruszajcie precz!

Odsuwali się, przechodzili nieco dalej i powracali natychmiast na dawne miejsce.

Od baraków ciągnęły coraz to nowe rzesze. Robotnicy byli bez zającia i radzi niezwyktemu widowisku.

Była to najrozmaitsza zbierania ze wszystkich końców świata, przeważali jednak włosi. Patrzyli ciekawie na „panów“, na ich osobliwy biwak, zwłaszcza imponował im sztandar i niepojęta rzesza służby.

— Amerykany... Te tyż naszych tego gnębą po kopalniach...

— Zarobki nie to, co szwajcarskie. Kto mądry — ten jedzie za morze...

— Nie gadaj, głupi, kiedy nie wiesz. A ja tam by! Pełne cmentarze naszych kości. Pójdziesz młody i zdrów, we dwa lata cię zakopią.

— Tamten gruby chyba najbogatczy. Ile tyż on ma?

— Nie rachuj, bo ci się we łbie zamroczy.

— A wszystko z tej ludzkiej krzywdy. Matko Boska!

— Nam pomaga Matka Boska, a im wszyscy dyabli. Komu lepiej?

— Żreją już od godziny, a wciąż coś nowego podają i końca nie widać. Co butelek!

— A ty cobyś robił, jakbyś miał? Tyż to samo. Każdy człowiek jest pies i tyle.

— Jeden pies jest niczyj i lała od wsi do wsi letki, że go sam wiaterek niesie, a inszy na aksamitnej poduszce leży, a jak wstanie, to brzuch po ziemi włóczy.

— Patrzcie, jak to idzie: ta czar na panna, piękna, iak Madonna, siedzi przy tej paskudnej, jak ta małpa.

— Takim wszystko jedno. Obie bogate.

W jednej grupie ugadywano się brzydko z Johnem. Pańska postawa jego nie wzruszyła tam nikogo. Udzierano się zęb za zęb. Tłum narzłość ruszył z miejsca i zbliżył się do biesiadników na odległość kilkunastu kroków. A ponieważ mężczyzny kamerdyner nie ustąpił i zagroził drogę, więc gromada ogarnęła i otoczyła go dookoła zwartym murem. Kpili z niego i naigrawali się w żywe oczy, a kiedy się chciał przepchać z powrotem, nie puszczali.

Między włochami było sporo takich, co już bywali w Ameryce. Ci rozmawiali z Johnem po amerykańsku, a ponieważ znali z gwary przeważnie tylko same przekleństwa, więc cały grad słów obelżywych posypał się na dżentelmana.

— Puszczajcie, kanalie!

— Posiedź z nami, psi synu.

Opowiedz nam, jak to ty swojemu panu... kiedy...

— Natychmiast telegrafuję do Siou! Posiedzicie wy dobrze za napasć.

— Na czym zatelegrafujesz? Na swoim nosie? mało wygolona! Powiedz swojemu panu...

— Powiedz mu, że go za rok powiesz. Za rok będzie na całym świecie rewolucya.

— Ty, drabie jeden, odpowiesz za pogrózki! Wiesz, komu grozisz?

— Wiem, parszywemu psu, kamerdynerowi z Pittsburga. Znam tego wieprza! Znam i ciebie, zaprzędną twoją mać! Stary krew ludzką pije, a jak splunie, to ty, pokrako, z ziemi wylizujesz...

Przybiegło kilku ze służby Johnowi na pomoc. Ci też utonęli w tłumie. Ścisnęto ich ze wszystkich stron. Ogłuszyły ich śmiechy, urągawiska, pogrózki. Któryś, co się trochę zanadto pchał, dostał już kulakiem pod żebro, aż go sparło.

Lady Hartley pierwsza zaczęła się niepokoić.

Raz, jeszcze za życia męża, widziała milicję, szarżującą tłum podczas jakichś zaburzeń strajkowych czy też wyborezych, i obraz ten sprawił na niej niezapomniane i straszne wrażenie. W chwilach przynębnia, zwłaszcza w ostatnich smutnych latach, prześladowało ją widmo rewolucji socyalnej, rzezie i pożary, zatracenie wszelkiego piękna i miłogo spokoju.

Rozżarty tłum wdrze się do jej pałacu, wywlecze ją i zamorduje wśród męczarni i urągawisk. Złuszczą zostaną z subtelnej wielkiej kultury, szerzonej przez sfery naczelne. Świat zapadnie się w ohydne błoto popolitości. Rozszalałe hordy opanują ziemię i zaprowadzą terroryzm prostactwa i brzydoty.

DCN.

ADAM STODOR.

Wspomnienie.

Z NOWEJ SERJI.

Dawno to, dawno... Chłopak, lat dwanaście, w którego duszy żywą każdą baśń, przeto mu znane czarodziejskie włości, zamarów smęty i zachwyceń jaśń...

Z krzepkiej osiki spreżystej galezi, w ogniu ostrożnie przygrzanej „na hart“, kablak uczynton, — on strzałę uwiezi, — luk, co rycerskiej jeno dłoni wart!

Sajdak z tektury, w nim zaś z gonta strzały, każda z nich pewny przeciwnika zgon, przy boku mieczyk drewniany, lecz śmiały, — tą bronią zdobyć można nawet tron!

A teraz, na koń! — dosiędźmy bachmata, stańmy na czele i sprawiwszy szyk,

(przemily kucyk, pomne, zwal się: Ata) pędźmy za wrogiem, co w oddali znikł.

Dokota wrogi, — hej! z sajdaka strzały! — warczy cięciwa, ostry strzały syk, — szły celnie, — wokół wrogi obalały, — było ich tyle, — już ostatni znikł. —

— — — A dziś?... Przeciwiństw wicher dalej wyle, oddech zapiera, w skroń wali, jak młot — Nie pędze, — ide, pochyliwszy szyje, znój walk w chód zmienił mój rycerski lot. —

Ide, — zwycięstwa nie widząc przed sobą, i prawie pewien, że los zmoże, wróg, — lecz ide naprzód! cel mając przed sobą, i dziś niezdolny gnąć w kajdanach slug!

Rozdział XXXIII.

Do tej chwili trzymałam się mężnie, choć serce dygotało we mnie, jak liść jesienny na wietrze, ale teraz uczułam, że cały ciężar prawa, zwyczajów, ojcowskiej władzy, a nawet religii zwała się na mnie, gnąc mnie coraz niżej, niżej, i że, jeżeli jakaś pomoc się nie zjawi, będę musiała nledz.

Stałam przy oknie, opierając płonące czoło o szybę, gdy zastukało zlekka, prawie nieśmiało. Był to Ojciec Dan i widok jego drogiej twarzy, stroskanej i wzruszonej, wydał mi się ostatnią deską ratunku.

Z głośnym płaczem rzuciłam mu się na szyję. Zaczynając nie odtrącił mnie. Gładził mnie po głowie i na swój prosty, słodki sposób starał się pocieszyć.

— Nie płacz! Nie martw się, moje dziecko! Wszystko jeszcze będzie dobrze.

Usiadł na krześle, a ja uklęknąwszy przy nim, jak moja matka, kiedy się spowiadała. Może przypomniało mu się to w tej chwili, bo rozplakał się także i czas jakiś milczeliśmy oboje.

Wreszcie zaczęłam opowiadać mu, co zaszło, nie chcąc niczego ukrywać, ale wyrazy dławily mnie w gardle i miałam wrażenie, że ktoś inny za mnie mówi. Lecz ojciec Dan zrozumiał mnie.

— Wiem, wiem — i na swój sposób przedstawił mi moje położenie: Miłość jest uczuciem wyższem i niższem, lecz oba te rodzaje służą celom Bożym. Jednak miłość wyższa musi naprzód zapukać do dziewczęcego serca i zbudzić je, inaczej ta niższa wyda mu się czemś okropnem i przeciwnem naturze. Ja zaś poszłam za mężem bez miłości, i cóż dziwne, że wszystko się we mnie zbuntowało, gdy mi tak nagle i okrutnie otwarto oczy?

— Tak to jest, moje dziecko, tak, tak. Wiem! Wiem!

Tu zaczął winić siebie o wszystko, mówiąc, że powinien był stać czoło ojcu, biskupowi i prawnikom i nie dopuścić do tego małżeństwa.

— Ale teraz, stało się, moje dziecko, i niema na to rady.

Jednak mnie przypomniało się to, co mój mąż mówił o możliwości unieważnienia naszego małżeństwa i co mnie głównie krzepiło na duchu wobec ciotki Brygidy i adwokata. Z bijącym sercem, nawpół z trwożą, wpół z lękiem napomknęłam o tem.

— Czyż niema jakiej drogi wyjścia? — zapytałam.

— A jakaż może być? — odparł Ojciec Dan. — Bogu wiadomo, że działałaś pod przymusem, ale cóż? Jesteś już mężatką; złożyłaś przy-

się i w oczach prawa i Kościoła odpowiadasz za to, co się stało.

— Ale... unieważnienie — wybełkotałam. — Przecież w takich okolicznościach...

Zaczynając milczał chwilę, jakby zaskoczony tem pytaniem.

— Dziecko drogie, — rzekł wreszcie ze smutkiem — nie myśl o tem. Zapewne... ale prawo i Kościół wymagają w takim razie dowodów... a to jest... to byłoby zbyt... to byłoby niemożliwym dla ciebie, córki twojej matki, tej świętej istoty, która tyle wycierpiała w milczeniu.

Zrozumiałam, że ostatnia deska ratunku usuwa się z pod moich stóp. Ogarnął mnie straszliwy lęk i cała moja przeszłość u boku tego męża, który przejmował mnie takim wstrętem, stanęła mi przed oczyma w swej nieublaganej, rozpaczliwej nagości.

— Więc mam uleść? — zapytałam.

Ojciec Dan pogładził mnie po głowie i odpowiedział zcichą, że uległość była udziałem wszystkich kobiet, że tak było od początku świata i że, zapewne, tak i pozostanie do końca.

— Pamiętaj, cośmy czytali wczoraj w Epistole: „Żony niech będą podległe mężom swoim“.

— Więc mam iechać dziś z moim mężem? — spytałam, czując, że serce zamiera mi w piersiach.

— Nie widzę innej rady, moje biedne dziecko. Nie mogę cię ganić za to, co zaszło pomiędzy tobą a twoim mężem, choć no to mnie tu przysłano, ale nie mogę także zachęcać cię do dalszego oporu. Bo z tego by tylko jaknajgorsze skutki wyniknąć mogły.

Wstałam z klęczek i podeszłam do okna. Dziki bunt wzbierał mi w duszy.

— W takim razie popychacie mnie wszyscy na drogę uprawnionego nierządu! — wykrzyknęłam z uniesieniem.

— Dziecko! dziecko! co ty mówisz? — szepnął Ojciec Dan.

— Tak! Nie będę się czuła nigdy żoną mego męża, ale jego ślubną kochanką, nałożnicą!

Drogi Ojciec Dan zmieszał się tak strasznie, że w pierwszej chwili spuścił tylko oczy i zaczął nerwowo szarpać srebrny krzyżyk, wiszący na jego sutannie, a ja sama zawstydziałam się ogromnie.

To też nie przerywałam mu już, gdy, ochłonawszy nieco, zaczął mi mówić o nadziemskim znaczeniu sakramentu małżeństwa i jego duchowej potędze. Wszak Bóg sam łączy w ten sposób dwoje ludzi; więc czy podobna, aby Jego drogi, oczom śmiertelnym zakryte, mogły wieść do innych, niż do świętych celów?

— Więc nie trać otuchy, dziecko moje. Któż wie, co się jeszcze stać może. Pan Bóg sprawia cuda tak samo teraz, jak za dawnych czasów. Możesz jeszcze... tak, możesz jeszcze pokochać twego męża, a wtedy wszystko będzie dobrze.

Podniosłam głowę. Wspomnienie dziwnego uczucia, jakiego doznałam w kościele podczas obrządku ślubnego, przeniknęło mnie nawskroś.

— Ojciec Dan! — zawołałam.

— Co, dziecko drogie?

Z trudem wytlómaczyłam mu myśl moją. Więc dobrze: pojedę z moim mężem, będę z nim mieszkać pod jednym dachem, będę nosić jego nazwisko, żeby nie wywoływać skandalu, jeśli on ze swej strony przyrzeknie uroczyście, że dopóki go nie pokocham, nie upomni się nigdy o swoje prawa małżeńskie.

Mówiłam to, nie śmiejąc spojrzeć na Ojca Dana w obawie, że on może wstrząśnie przecząco głową, lub wyśmieje mnie poprostu. Lecz on uśmiechnął się tylko radośnie.

— Mówisz to szczerze? — zapytał.

— Tak,

— I pojedziesz z nim pod tym warunkiem?

— Pojadę.

— Więc on musi na to przystać!

Biedny, drogi Ojciec Dan! Ten dziewczęcy, naiwny pomysł przypadł mu do serca. W prostocie swego czystego ducha nie widział ani jego niebezpieczeństw, ani jego trudności. Wszak mąż mój w gruncie rzeczy osiągnął już to, czego naprawdę chciał. Dostał pieniądze mego ojca wzamian za swoje szlachetne nazwisko, a jeżeli pragnął więcej, jeżeli pożądał miłości swojej żony, niechże się o nią postara, niech ją zdobędzie.

— To całkiem słuszne, całkiem sprawiedliwe. I dziesięć razy więcej warte zachodu, niż wszystko złoto i srebro twego ojca, czego mu nie omieszkać powiedzieć.

Wstał, jak odrodzony, rozrzewniający w swem głębokiem zaufaniu w moją niezłomność.

— A ty, moje dziecko, będziesz się starała pokochać go wzamian, przyrzeknij mi to.

Wzdrygnęłam się mimowolnie; wstręt, jaki czułam do mego męża, chwycił mnie za gardło. Ale Ojciec Dan nalegał:

— Przyrzeknij mi to. Przyrzeknij dla mego spokoju, dziecko drogie.

— Przyrzekam.

— Chwała Bogu! Samo to uczyni go lepszym. Może on i jest takim, jak o nim mówią, ale wpływ dobrej, kochającej kobiety cudów dokonąć zdoła!

Szedł ku drzwiom.

— Zejdę na dół i pomówię z twoim mężem. Musi się zgodzić! Zgodzi się napewno. Wiem, że się boi publicznego skandalu, a jeżeli by się opierał, powiem mu, że... Ale, nie! nie! do tego nie dojdzie. Do widze-

nia, dziecko moje. Jeżeli nie wrócę, to będzie znakiem, że się wszystko nomyślnie ułożyło. Będiesz jeszcze szczęśliwą. Zobacysz! Do widzenia i niech cię Bóg ma w swej Najwyższej Opiece!

O czwartej po południu tegoż dnia mąż mój opuścił Ellan parowcem, idącym do Anglii, a ja — pojechałam z nim.

Rozdział XXXIV.

Obietnica moja była szczerą i zabrałam się szczerze do wypełnienia jej. Przyrzekłszy starać się pokochać mego męża, postanowiłam zamknąć oczy na jego wady, a widzieć tylko jego przymioty.

Niestety! jakież rozczarowania oczekiwały mnie! Jakie gorzkie, upokarzające rozczarowania!

Przyjechawszy do Londynu, stanęliśmy w eleganckim hotelu w spokojnej, lecz dobrze znanej dzielnicy West-End'u, zamieszkałej głównie przez znakomitych lekarzy i chirurgów. Tu, ku memu zdziwieniu, zwiędziono się rychło o naszym przybyciu i nazajutrz od rana istna procesja odwiedzających tłoczyła się do naszych drzwi.

Zrazu mniemałam, że to są przyjaciele mego męża i ogarnęło mnie śmieszne poczucie pewnej dumy na myśl, iż jest on tak znacząca osobistością w stolicy.

Wprędce jednak odkryłam, iż byli to jego wierzycciele na tak zwane „honorowe“ dłużni, których nie chciał ujawniać memu ojcu i jego adwokatowi.

Jednym z najwytrwalszych z pomiędzy tych „gości“ był jakiś prawnik, którego mój mąż widocznie się obawiał. Ich sam na sam w jednym z dwóch naszych saloników, w których się zwykle zamykali, bywały nader burzliwe, niejednokrotnie bowiem słyszałam przez drzwi gniewne wykrzykniki, przekleństwa i uderzenia pięścią w stół.

Ale w końcu tygodnia przyjechał do Londynu adwokat mego męża i rozmowy stały się spokojniejsze.

Pewnego dnia siedziałam w sąsiednim pokoju, pisząc list, gdy usłyszałam śmiechy, strzelanie kordów i brzek kieliszków, z czego wymiarkowałam, że owa trudna i przykra sprawa doczekała się pomyślnego zakończenia.

Po niejakiem czasie goście wyszli wraz z moim mężem i wtedy coś mnie poczęło, aby wejść do opuszczonego przez nich pokoju.

Było tam aż ciemno od tytoniowego dymu. Na biurku stała pusta butelka od szampa, a tuż, obok, porozrzucone jakieś urzędowe papiery i gruby pakiet listów, związanych pasową wstążką.

W tej chwili mąż mój, który gości swych tylko do windy odprowadził, wszedł i, uirzawszy mnie, zachmurzył się. Widocznie myślał, że przeglądałam te papiery.

— A zresztą, mniejsza! — rzekł



... Nadszedł dzień urodzin mego męża. Zauważyłam, że lubił kwiaty; wstałam więc bardzo rano, pojechałam do Covent Garden i, kupiwszy olbrzymią wiązkę najpiękniejszych róż, przystroiłam nimi salon mego męża...

nagle. — Mogę ci powiedzieć wszystko i skończyć z tem raz na zawsze.

I powiedział mi. To były jego listy, pisane do kobiety, której przyrzekał, że się z nią ożeni. Pomimo, że w ciągu trzech lat zrujnował się dla niej, nie dała mu i teraz spokoju, i przez swego prawnika, skończonego lotra, zagroziła procesem, jeżeli mój mąż ożeni się z inną. I dlatego to musieliśmy jechać tak nagwałt do Londynu.

— Nareszcie wydobyłem z jej szponów te przekłete dowody! — rzekł mój mąż, wskazując mi pakiet listów. — Pięć tysięcy funtów mnie to kosztowało!

Nie potrafię oddać słowem tej pychy, a zarazem tego poczucia doznanej krzywdy, z jakimi mąż mój opowiadał, ani tego miażdżącego

wstydu, z jakim go słuchałam. Wiodcznem było, że nie zdaje sobie zgoła sprawy z roli, jaką ja w tem odegrałam; zarówno z tego, że pieniądze, któremi opłacił tamtą kobietę, przyszły mu przezemnie, jak i z tego również, że przywłókł mnie tu za sobą, swoją żonę, na żądanie porzuconej kochanki.

Gdy mąż mój skończył swoje opowiadanie, nie mogłam wykrztusić słowa. Gniew dusił mnie za gardło. A przytem czułam się tak poniżoną i zdeptaną we własnych oczach, że uciekłam do mego pokoju i, ukrywszy twarz w poduszki, wybuchnęłam spazmatycznym płaczem.

I na cóż się zdało chcieć pokochać człowieka, którego dzielila ode mnie przepaść moralna, nie mogąca się nigdy zapełnić. Na co? Na co?

Ale nazajutrz, rozważywszy wszystko, i przypomniawszy sobie, co mi ciotka Brygida mówiła, doszłam do przekonania, że zbyt wiele wymagam.

Może mąż nie jest jakąś wyższą istotą, którą trzeba czcić i szanować, lecz czemś w rodzaju dorosłego dziecka i żona powinna dziecku temu wiele wybaczać, dogadzać mu i pocieszać.

Niechże i tak będzie, powiedziałam sobie. A ponieważ czepiałam się wciąż nadziei pokochania mego męża, zaczęłam starać się przypodobać mu wszelkimi sposobami, jakie były w mojej mocy, a nawet takimi, które mi dotychczas były obce.

Myślałam, że po załatwieniu sprawy z tamtą kobietą wyjedziemy zaraz w podróż poślubną; mąż mój jednak postanowił zostać przez kilka tygodni w Londynie i nie wiem, czy jaka młoda mężatka nudniej i przykrzej spędziła swe miodowe chwile, niż ja je tam spędziłam.

Nie miałam żadnych kobiecych znajomości; natomiast kilku przyjaciół mego męża, a pomiędzy nimi pan Eastcliff, dotrzymywało nam prawie ciągle towarzystwa. Z nimi jeździliśmy na spacer, a przedewszystkiem grywaliśmy w bridża w naszym hotelowym saloniku.

Nigdy przedtem nie miałam w rękę kart, ale zgodnie z mojem postanowieniem przystosowania się do upodobań mego męża, zasiadałam do gry, gdy im brakło było partnera.

Ale smutne były wyniki tych usiłowań. Pomimo najlepszych chęci, byłam jakaś tępa do karcianych kombinacji, a niecierpliwość mego męża i szorstkie wymówki, jakie mi czynił, gdy przezemnie przegrywał, czyniły mnie jeszcze tępszą.

Nielepiej mi się wiodło, gdy w rzadkich chwilach naszych sam na sam chciałam mu śpiewać albo czytać na głos. Dziewięcioletni pobyt w klasztorze wycisnął swe nieomyślne piętno na obu tych moich talentach, za które mnie tak tam chwalono, i mąż mój zatykał uszy, wołając, że- bym przestała, bo mu się zdaje, że jest na pogrzebie lub na rekolekcjach.

Nie mieliśmy też o czem rozmawiać ze sobą. On lubił miasto, ja lubiłam wieś; on czuł się w swoim żywiole wieczorem w blasku elektrycznych świateł, ja lubiłam rześwe poranki i słodczy promieni słonecznych.

Gdybym była mogła wykrzesać choć jedną iskry z jego serca, stosunki nasze byłyby się ułożyły zapewne inaczej, ale ta iskra była nie do wykrzesania i z dniem każdym przepaść pomiędzy nami pogłębiała się coraz bardziej.

Z tem wszystkiem nie dawałam za wygraną.

Nadszedł dzień urodzin mego męża. Zauważyłam, że lubił kwiaty;

wstałam więc bardzo rano, pojechałam do Covent Garden i, kupiwszy olbrzymią więź najpiękniejszych róż, przystroiłam niemi cały salonik mego męża, tak, że wyglądał, jak ślubny bukiet.

— O! to rozumiem — rzekł mój mąż, gdy w parę godzin potem wyszedł ze swej sypialni, z nieodstępnym jannikiem, którego, nawiasem mówiąc, nie znosiłam dla jego złośliwości.

I zwróciwszy się do numerowego, który właśnie przyniósł mu śniadanie, dodał:

— Proszę podziękować gospodyni, że mi tak pięknie przybrała pokój.

— Kiedy to nie gospodyni, milordzie — odpowiedział służący.

— A któż taki?

— Jej lordowska mość!

— Ooo! — rzekł mój mąż przeciągle, jakimś miększym tonem, po- czem zabrał się do śniadania, pogwizdując zlekka.

Taka to była nagroda za tyle trudu, ale ja się tak ucieszyłam, że mi się powiodło, iż gdy tegoż dnia ku wieczorowi mąż mój wybierał się z paru przyjaciółmi do teatru na jakąś modną operetkę, zaczęłam prosić, aby mnie z sobą wzięli.

— Także pomysł! — rzekł mój mąż — Przecież to nie żadne oratorium.

Ale ja nalegałam w dalszym ciągu, że wreszcie pan Eastcliff rzekł:

— Cóż ci to szkodzi? Skoro pani sobie życzy...

— Bardzo dobrze — rzekł mój mąż, szczypiąc mnie w policzek. — Jak ci się podoba. Ale jeśli ci się to podobać nie będzie, to *mnie* o to nie wiń!

Nie uszło mojej uwagi, że mąż mój spostrzegł zmianę w mojem postępowaniu z nim, i że mnie to podniosło w jego oczach. Ale w naiwności mojej nie pojmowałam, jakie znaczenie tej zmianie nadawał i jego poufalsze obejście ze mną nie wzbudzało we mnie obawy.

Niestety! wprędce miały mi się oczy otworzyć i nowa fala wstrętu i obrzydzenia miała mi zalać duszę.

DCN.



Wiadomości literackie.

IGNACY BARANOWSKI. „*Wieś i Folwark*”. Studya z dziejów agrarnych Polski.

Polska, jako kraj, który całą swą gospodarkę ekonomiczną ufundował na rolnictwie, była klasycznym państwem co do formowania się stosunków i struktury społecznej, zależnej od agrarnych instytucji, wytworzonych przez warunki naturalne. W starej Polsce panował ustrój samorządowo-gminny. Datował się już od czasów Kazimierza Wielkiego. Dopiero statut toruński sankcjonuje przymusową i bezpłatną robociznę. Sta-

tut ten, na swój czas zrozumiały zupełnie, był rewolucją w stosunkach społecznych. Dziedzic stawał się panem dusz, sędzią i ojcem poddanych. W ten sposób powstały państwka w państwie.

Baranowski w książce swojej daje szereg studyów: o Gostomskim, zmianie koleje Statutu Toruńskiego, Sądy Referendarskie, Karta z życia gospodarczego Podhala i t. d. Studya te obemują ewolucję stosunku folwarku do wsi poprzez ostatnie trzy wieki aż do chwili rozbiorów. Poza tem mamy „próby organizacyi w Polsce drobnego kredytu wiejskiego za czasów Stanisława Augusta”, i dwie inne prace też w tej materii, co zaokrągla całość książki.

Studya Baranowskiego zasługują za wszechmiar na uznanie i na poznanie. Wyświetlają bowiem wiele ciekawych stron życia naszego gromadzkiego.

ALEKSANDER POLIŃSKI. „*Chopin*”.

Małeńka, estetycznie wydana książeczka o Chopinie, którą napisał znany krytyk i historyk muzyki, Aleksander Poliński, daje wszystko, co się powinno wiedzieć o życiu i twórczości natchnionego i wszechwładnego króla fortepianu. Prof. Poliński położył silny nacisk na wykazanie bezpodstawności różnych bredni o niepolskości Chopina, które ostatnimi czasy zaczęły się sporadycznie zjawiać w prasie francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Zacytowanie wyznań Chopina obala wszelkie obelżywe hipotezy, które tak chętnie czynią nasi wrogowie, które tak chętnie czynią nasi wrogowie. Ilustracye, dotyczące dzieciństwa, mejscu urodzin oraz znajomych i portret mistrza estetycznie uzupełniają tę wartościową i pożyteczną książeczkę.

„*Rocznik statystyczny Królestwa Polskiego*”. Rok 1913. W opracowaniu Biura pracy społecznej, pod kierunkiem *Władysława Grabskiego*.

Biuro Pracy Społecznej podjęło trud niezwykle pożyteczny i uznania godny. Dawno już odczuwamy brak statystyk, dotyczących Królestwa Polskiego. „*Rocznik*” zaś obejmuje wszystkie najważniejsze dziedziny życia społeczno-ekonomicznego; daje: powierzchnię i ludność, pochodztwo i emigracyę, własność rolna, produkcję rolna, przemysł, handel, kredyt, budowlę i pożary, drogi, skarbowość, gospodarstwo miejskie, zdrowotność publiczną i szkolnictwo. Już samo wyliczenie tytułów świadczy o bogactwie pouczającego materiału. Dla każdego więc myślącego obywatela-polaka „*Rocznik*” ten jest księgą godną zająć miejsce przednie, gdyż w cyfrach najlepiej odczyta i wykoncytuje sobie, jak wygląda ta polać ziemi, na której wyrósł i o której własność walczy.

Miscelanea.

× Z powodu setnej rocznicy otwarcia Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, dziennik rosyjski „*Riecz*” zamieścił portret biskupa hr. Józefa Załuskiego i napisał co następuje: „Hrabia Józef Załuski (1703 — 1774), biskup kijowski, miłośnik i znawca książ, członek honorowy akademii bolońskiej, berlińskiej i petersburskiej, zgromadził i otworzył dla użytku publicznego w Warszawie olbrzymią bibliotekę w r. 1761, po- czem ofiarował ją narodowi polskiemu. Udział, jaki brał w walce za wolność Polski, ściągają nań prześladowania, i hr. Załuski 6 lat spędził na zesłaniu w Rosyi. Wkrótce po powrocie do ojczyzny zmarł. Po śmierci biskupa Załuskiego rząd pol-